



Marychna
uczy się grać
na fortepianie

Wielka gra

(Ciąg dalszy)

— Słuchajcie i nie śmieciecie się ze mnie — zaczęła Hela — przynajmniej póki nie skończę mówić. Potem możecie. Zabawmy się tak — ciągnęła — któraś zacznie opowiadać jakąś wymyśloną przez siebie bajkę, w środku przerwie i każe mówić innej, ta będzie musiała wymyśleć dalszy ciąg tej samej bajki, a potem znów przerwie i tak dalej, póki się bajka nie skończy, albo zabawa nam nie znudzi.

— Dobrze, świetny pomysł — rzekła druchna Halina — wobec tego ty zacznij.

Hela pomyślała przez chwilę i swoim słicznym głosem rozpoczęła opowiadanie:

„Była sobie przeliczna królowna, która mieszkała w złotym pałacu, żywiła się rosą poranna . . .

— Litości! — przerwała jej Zosia, znana z dobrego apetytu.

— Cicho! Nie przerywaj!

. . . i spała na płatkach różanych. Ale królowna była bardzo smutna, bo była zupełnie ale to zupełnie sama. Nieraz więc, stojąc przy kryształowym murze swojego parku, patrzyła w dal, marząc o swobodzie. Wreszcie pewnego dnia, widząc wspaniałego orła, który na rozłożystych skrzydłach przepływał majestatycznie nad parkiem, zawołała królowna:

— Ptaku piękny, ptaku królewski, zabierz mnie z sobą w świat, bo ciężka jest dola samotna.

Orzeł alitował się nad królowną, zabrał ją na swoje skrzydła i pofrąnął. Po godzinie lotu znaleźli się nad pięknym pałacem marmurowym . . . — tu Hela urwała nagle i rzekła — Irka dalej.

— Gdy znaleźli się nad pięknym pałacem marmurowym. . . — powtórzyła wolno Irka, aby wyskać czas na namysł — nagle rozległ się strzał myśliwego i orzeł zachwiał się trafiony morderczą kulą. Królowna osunęła się gwałtownie z jego grzbietu i zaczęła spadać prosto na wieżę pałacu. — Zabiję się — pomyślała. Spadała coraz szybciej, lecz nagle zatrzymała się. Okazało się, że szczęśliwie trafiła obcasikiem awego jedwabnego pantofelka

prosto na spiczaste zakończenie wieży. Zachwiała się, lecz zdołała odzyskać równowagę. — Mój Boże — pomyślała — ileż czasu potrafię tak stać na obcasie? Szkoda, że nie ćwiczyłam się w staniu na jednej nodze, miałam przecież tyle wolnego czasu. — Wtem dostrzegła, że do wieży przymocowany jest drut anteny radiowej i zesłała po nim zrzęcznie na dach pałacu. Tam było jej przynajmniej, wygodnie, ale ile czasu przyjdzie jej tam zostać? Na szczęście dostrzegł ją już królewicz, który mieszkał w pałacu i rozkazał służbie przynieść jak największą drabinę. Ale ładna drabina w okolicy nie sięgała dachu pałacu. Wtedy królewicz wsiadł w awjonetkę, oczywiście RWD, wystartował i po chwili zrzęcznie siadł na dachu.

Irka chciała nadal ciągnąć swoją oryginalną opowieść, gdy przerwała jej druchna Danusia:

— Ale wtedy zła wróżka, która ogromnie nie lubiła królowny uspiła ją na sto lat, więc my zdążymy pójść na obiad, bo już późno — rzekła, podnosząc się.

— Jaka szkoda, to taka ładna zabawa — rzekła któraś z żalem.

— Pierwszy raz słyszałam w bajce o samolocie i antenie — śmiała się inna.

Wesoło było tego dnia w obu drużynach, tylko nazajutrz zmartwiły się bardzo Zielone, gdy się przekonały, że Błękitne wyprzeżyły je o dwanaście punktów.

— Musimy wyrównać — myślały i mówiły ciągle, ale miały dni, a różnica punktów nie zmniejszała się, bo i Błękitne starały się bardzo.

— Jak to nieprzyjemnie być służbową — myślała Murysia, dźwigając ciężkie wiadro z wodą. Coprawda było ono tylko do połowy napełnione, ale dla Marysi i to było dużo.

A tutaj czeka tyle jeszcze roboty: objeżdżanie ziemników, rabanie drzewa, gniecienie ciasta na kluski. Jakże trudno Marysie nie narzekać, nie skarżyć się na nadmiar pracy. Ale nie wolno — „Wielka

Gra", nie można nawet ukradkiem odpo-
cząć trochę, bo nieuczuciwością będzie, je-
śli wieczorem przy zdawaniu sprawy z
całego dnia powie, że pracowała solidnie.

Więc też Marysia w milczeniu spełniała
wszystkie polecenia drugiej służbowej
Jaśki, która nawet nie domyślała się, że
dziewczynka jest tak bardzo zmęczona.

Pogoda tego dnia była jakoś niepewna;
na niebie klebiły się dość ciemne obłoki,
rozpędzane i spędzane przez wiatr, a w
obozie mimo dość gwałtownych powiewów
gorąco było i parno.

— Śpiesz się, śpiesz się — wołała Jaśka,
usiłując podtrzymać przygaszony przez
wiatr ogień. Marysia przynosiła jej co
chwila wiązki narąbanego drzewa.

Rozległ się pierwszy odległy grzmot.
Obłoki zbiły się w jedną brunatną chmu-
rę, po której przebiegały co chwila nie-
pewne jeszcze błyski. Grzmot powtórzył
się, tym razem bliższy i silniejszy. Marysia
drgnęła i obejrzała się trwożliwie. Bała
się burzy.

— Jaśka, i co my teraz zrobimy?

— Jakto? nie wiesz co? obiad oczy-
wiście.

— Ale burza . . .

— A co nas burza obchodzi? Najwyżej
przemokniemy trochę, ale to nie straszne,
a parasoli nie mamy przecież.

— Do garnków nam się należy — z roz-
naczą próbowała ostatniego argumentu
Marysia.

— To je ponakrywamy — odparła
beztrosko Jaśka, poczem odwróciła się do
Marysi i rzekła już poważniej — słuchaj,
Maryś, nie mamy przecież na to żadnej
rady, nie możemy zabrać kuchni do namiotu,
a obiad trzeba przygotować. Musisz się
opanować. Zresztą — obejrzała się po
niebie — może nas burza ominie.

Marysia zacięła zęby. Wiedziała dob-
rze, że to tylko pocieszenie, bo chmura już
przesłoniła niebo, a błyskawice i grzmoty
stawały się coraz częstsze. Gdyby to było

w domu, Marysia by już dawno rozpląkała
się, cisnęła wszystko i uciekła do mieszka-
nia, żeby schować nos w poduszkę, ale tu
na obozie przecież tak nie robi, wstyd.

Spadły pierwsze krople deszczu.

— Zaczyna się — pomyślała z przera-
żeniem.

Wtem nadeszło wybawienie. Zjawiała
się drużynowa i rzekła:

— Marychna, idź do namiotu. Hanka cię
zastąpi.

Drużna Danusia pamiętała o tym, że
Marysia jest wyjątkowo wąta, nerwowa i
skłonna do przeziębień, wołała więc nara-
zić na zmoknięcie dziewczynkę starszą i
zahartowaną.

Po odejściu Marysi Jaśka opowiedziała
drużynowej, jak Marysia starała się opa-
nować strach.

— W niej tkwi materiał na porządnego
człowieka — odpowiedziała drużna Da-
nusia.

Tymczasem w namiocie rozgorzał spór.

— Więc ty twierdzisz, że to nie jest fa-
woryzowanie, skoro się jedną chroni przed
deszczem, a drugą bez wahania naraża na
to samo? — zapalała się Wiśka.

— Twierdzę, że nie. Ja się nie zaziębie,
ani burzy się nie boję. A wyobrażam sobie,
jak ten biedny dzieciak już tam musi
trząść się ze strachu.

Przerwały dyskusję, bo właśnie weszła
Marysia i położyła się na pryczy. Wiśka
tylko spojrzała na nią niechętnie.

— Haniu, dlaczego ty kładziesz kos-
tjum kąpielowy? — spytała Marysia ze
zdziwieniem.

— Bo widzisz, najłatwiej zaziębić się,
jeśli na nas schnie dużo ubrania, korzysta-
jąc z ciepła naszego ciała. Jeśli więc mam
zmoknąć, to wolę nosić na sobie jak naj-
mniej. Potem przyjdę, przebiorę się, wy-
tarłszy uprzednio solidnie i nie mi nie
będzie. A kostjum nie trudno będzie wy-
żąć i wysuszyć.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Woda w mieście i na wsi

Dwie ciotunie miał Krzys mały,
w różnych stronach zamieszkałe
W mieście mieszka jedna ciocia,
co to jej na imię — Klocia.
W mieście rynek jest maleńki.
W rynku pompa u studzienki.
Z rynku ciocia dźwiga wodę
i ma straszną niewygodę.
W górach mieszka druga ciotka,
co nazywa się Dorotka.
W jej podwórzu niema studni.
Woda — het! w potoku dudni.
Wieżie wodę aż „z potoka“

kasztan o zapadłych bokach.
Wieżie wodę w starej beczce.
Ciężko z wodą jest cioteczce.
W dużym mieście — ot, wygoda!
Kran odkręcisz — leci woda!
Więc Jaś sobie obiecuje,
że, gdy już wyrośnie duży,
wodociągi pobuduje,
wszystkim ludziom się przysłuży!
Po wsiach, miastach, po miasteczkach,
wszystkim ludziom dla wygody,
niechaj kranik wodociągu
daje dużo czystej wody!

Smutna przygoda Stasia

Mały Staś czuł się bardzo szczęśliwym. Pierwszy raz w życiu posiadał swoje własne pieniądze, aż całego srebrnego łata!... Nie dalej, jak przed godziną siedział smutny pod murem kamienicy, rozmyślając o swej chorej matce, która leży tam na poddaszu, i nie dziś jeszcze od rana nie miała w ustach, gdy oto otwierają się drzwi sklepu i jakaś bogato ubrana pani wychodzi trzymając w ręku dość duże pudełko. Widocznie miała najpierw chęć sama je zabrać, ale wyszedłszy na ulicę, zmieniła postanowienie, bo nagle przystępując do niego zapytała:

„Mój mały, nie mógłbyś zanieść za mną tej paczki? Mieszkam niedaleko“. Staś zerwał się gotów jej służyć, wziął pudełko, które zresztą nie było wcale ciężkie i w niedługim czasie stanęli przed drzwiami mieszkania. Pani odebrała paczkę, zajrzała do portmonetki i dała mu „za fatory“ łata. Chłopcowi zaiskrzyły się oczy; wcale nie myślał o pieniądzach niosąc sprawunki za tą panią, ale teraz stanęła mu w myśli głodna i chora matka. Śpiesznie więc podziękował i wyszedłszy z bramy, pobiegł pędem ku domowi. O mój Boże! co radość, kupi za to matce chleba i mleka, choć raz przyjdzie jej z pomocą! jakie szczęście! W drodze spotkał siostrę Marysie. Opowiedział jej swoją przygodę i biegł razem dalej, podrzucając w górę srebrną monetę, która błyszczała jak nowa. Ale nagle stanął chłopiec osłupiały. Pieniądz, który dotąd zrecznie podrzucał i łapał, wysliznął się mu z ręki i upadł z dźwiękiem na kamienny chodnik

i potoczył się wprost ku otwartej kracie kanału. Jeszcze raz błysnął w słońcu i zniknął w ciemnym otworze . . .

Stasiowi pociemniało w oczach, ale wnet oprzytomniał i rzucił się ku kracie. Oboje z Marysią położyli się na ziemi, zagłądali, kładli ręce do środka, ale prócz ciemnego, głębokiego otworu nic widać nie było . . .

„O mój Boże! zawołał z płaczem, nie kupię już nic dla Mamy, a ona taka głodna!“

Zdawało mu się pogrążonemu w rozpacz, że nikt go nie widzi i nie słyszy, to też zdziwiony podniósł oczy, gdy na swym ramieniu poczuł jakąś rękę.

„A co ci to chłopcze, czego płaczesz?“ — zapytał równocześnie jakiś miły starszyszek. Staś ze łzami w oczach odpowiedział mu wszystko i jak wielka była jego radość, gdy ten dobry stary pan, po wysłuchaniu opowiadania, wydobyl taki sam łata i dając mu powiedział:

„Widzę, że z ciebie dobry chłopiec, kiedy mając pieniądze chciałeś je użyć dla chorej matki, tylko bardzo źle, żeś taki nieostrożny. Masz dobrą nauczkę na przyszłość i pamiętaj, to sobie zawsze, moje dziecko, że pieniędzmi bawić się nie należy.“ — Staś podziękował starszemu panu, schował uważnie łata do kieszonki i pobiegł uradowany ku domowi. Odtąd wiedział, jak ostrożnie trzeba się obchodzić z pieniędzmi.

Nadesłała Stasia Pozicz
z Żilupe

LALCZARKA

Jankę nazywają koleżanki „lalczarką” lub „mamusią K.” bo jej porcelanowe córeczki noszą imiona, zaczynające się od litery k.

Największa lala, którą jeszcze mamusia bawiła się w dzieciństwie (tylko peruczkę ma już nową), nazywa się Kinga na cześć królowej polskiej, bo jest również z Węgier rodem. Babcia przywiozła ją z Budapesztu. Druga, nieco mniejsza, wygrana na loterii, zowie się Kasia, a trzecia, malutka albo Kazik albo Kazia, zależnie od tego, czy Janka ustroi ją w sukienkę, czy w marynarskie ubranko.

Dziewczynka szyje im wciąż nowe sukienki, haftuje kołnierzyki i fartuszki, a misiowi zrobiła nawet szydełkiem czerwony serdaczek.

Bo jest jeszcze miś. I on nazywa się na k — Kajtuś.

Dawniej nigdy się z nim nie rozstawiała, to też, idąc pierwszy raz do szkoły, zabrała go z sobą i usadowiła obok kałamarza, aby się uczył wszelkich mądrości. Pani zauważyła to naturalnie i pyta:

— POCO przyniosłaś tego niedźwiadka do szkoły?

— To Kajtuś . . . On mi będzie pomagał.

Pani się roześmiała. — Na drugi raz zostaw go w domu. Niedźwiadki nie uczą się razem z dziećmi. Szkoda, żeś jeszcze paru lalek nie przyniosła . . .

Jak szkoda, to szkoda. Głuptasek siedmioletni na żarcie się nie poznał i na drugi dzień zabrała Janka lalki swoje do szkoły, na wszelkie perswazje mamusi odpowiadając z powagą: — Pani kazała.

Cóż to było śmiechu, gdy zjawiła się w klasie z ogromną Kingą pod jedną pachą, a Kazikiem pod drugą. Od tej pory została „lalczarką” i „mamusią K.”.

Tegoroczne święta przyniosły jej boho w podusi. Tatuś aż ręce załamał: — Zmiłujcie się! Jeszcze jedna lalka...

— Niech się tatuś nie boi. Dam sobie radę — odpowiada niepoprawna lalczarka. Ma tylko nielada kłopot z imieniem, gdyż boho też musi być na K.

Tatuś poradził Kornelję, mamusia Klarę, ale Janka uważa, że tak uroczyście imiona wcale do bobasa nie pasują. Służąca, Karolcia, radzi swoje imię, ale nie mogą być dwie Karolcie w domu. Poradźcie, co zrobić!

J. Duszyńska

W dużym garnku na swobodzie

W dużym garnku na swobodzie
tańcowały kluski w wodzie.
Tańcowały, tańcowały,
aż się wnet ugotowały.
A na płycie od komina
w rynce topi się słonina,
skwierczy, strzela, w górę prysko
niepodobna patrzeć zbliśka.
Nim minutki dwie upłyną,
będą kluski ze słoniną.
W krótkie dzionki mroźnej zimy
wszystkich głodnych nakarmimy.
Nam nie trzeba ananasów,
ni kawiorów, ni frykasów,
jeszcze z głodu ten nie zginął,
kto miał kluski ze słoniną!

J. Gillowa

Ale nas zbaw od złego

Legenda

Tratwa — nie tratwa, kilka pokrzyżowanych, źle skleconych desek. Na tym garsć słomy. I nic, jeno ten długi drag ku obronie przed złym żywiołem.

A nie ma wyboru, nie ma nawet chwili do namysłu. Czarniejsza od smoły woda chlupocze na podwórku i w sieni, weszła do izby — niby rozbójnik nocny. Młoda kobieta z dzieckiem, owiniętym zapaską, zsuwa się z daszku obórki.

W ciemnościach bieleje koszula męża, walczącego z wodą. Trzeba wypłynąć z zagrody i uciec od powodzi.

Młoda kobieta, pełna trwogi, patrzy na rzekę. Patrzy — i nie poznaje. Czyż to ta sama rzeka, która tak kochała i czciła, niby matkę żywicielkę? Która ich karmiła rybami? Teraz to już nie matka, ale zły potwór, który chce ich wraz z maleńkim dzieckiem pochłonąć.

Potwór walczy z człowiekiem. A człowiek ma tylko swój drag i lichą łupinę tratwy. Lecz człowiek wiezie swój skarb — żonę i dziecko — i walczy o życie tych istot i swoje.

Straszna to walka! On dąży do brzegu, wyteża wszystkie siły zbliża się, lecz po chwili zbuntowana fala odpycha go precz, ku środkowi rzeki. Ramiona mdleją, lecz nie ma dla niego spoczynku. Spozynek — to śmierć.

W tych zapasach ze śmiercią kobieta nie może mu dopomóc. Może się tylko modlić. Klęka więc, tuląc dziecko, i wznosi oczy ku niebu.

— Ojczy nasz, któryś jest w niebie-siech, święć się imię Twoje . . .

Mężczyzna walczy wciąż. Pod tratwą bulgoczą złowrogie wiry.

Poza plecami ludzi, na wschodniej stronie nieba — widnieje jasny pas brzasku.

— Bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi . . .

Nowy wysiłek mdlejących ramion — i tratwa zbliża się ku brzegowi. Lżej ją, ktoś, sporzej idzie praca znużonemu.

Ludzie nękami niebezpieczeństwem, nie widzą, że poza nimi stoi ktoś trzeci, pod którego stopą nie drgnęła tratwa, gdy stał na nią. Ktoś wysoki, jasny, a silny

widać, a potężny. Pracuje drugim dra-giem.

I tratwa idzie posłuszna jak pies, którego pan woła do nogi.

Cichy Pomocnik, w długie białe szaty odziany, z kręgiem świetlistym dokoła głowy, pracuje wciąż, narówni z człowiekiem.

Wybawiciel, który nagle się zjawił, przywołany modlitwą rozpaczy.

Oczy dobre, mądre, świadome wszystkich smutków i nędzy tego świata, patrzą miłosiernie na nieszczęśliwych ludzi i ich dziecine. Ręce przebite niegdyś gwoździami, dziś z nateżeniem trzaskają dla nieszczęśliwych.

— I odpuść nam nasze winy — modli się drżąca kobieta. — ale nas zbaw ode złego! Ale nas zbaw ode złego! . . .

Tratwa uderza o korzenie wierzb. Poza nimi — już ocalenie. Już zły prąd nie porwie wędrowców ze sobą. Jeszcze chwila, a zaczną wchodzić na wzgórze.

Niespostrzeżony Chrystus wznosił w górę błogosławiące dłonie.

Po chwili jasna jego postać rozplynęła się w szarych blaskach świtu.

Zbawił ode złego tych, którzy Mu ufali. Teraz dadzą sobie radę sami, a On — odchodzi.

Jędrusiowe buty

Ze śmietnika do połowy sterczą buty Jędrusiowe. Wyrzywione, podarte, nie już niewarte. Tak im nudno pośród śmieci... chciałyby tak w świat polecieć... Pójdą chyba, choć dziurawe. No i poszły — lewy... prawy...

Przytupują z całej siły — jakby jeszcze nowe były. Zatańczyły obereczka dokoła podwóreczka — patrzą... w kącie piłka leży. Lewy but, aż zęby szczyrzy, aż się nosem śmieje prawy — proszą piłkę do zabawy.

Jak zaczęły z piłką hasać — oderwały się obcasy. Skacze piłka wdół i w górę, w butach — coraz większe dziury... Bawili się przez dzień cały, aż się w strzepy rozleciały.

Wiosna tuż... tuż...

Na drabinach, wzdłuż ulicy,
strzygą drzewa ogrodnicy.
Lecą witki i pręciki
wdół, na jezdnię i chodniki.
Zebrały się małe dzieci,
patrzają, co tak zgóry leci,
i zbierają gałązeczki:
będą robić zabaweczki.
Jaś zmajstruje bat na konie,
Żocha — ogród na balkonie,
a Stefanek-nieboraczek
będzie śliczny miał wiatraczek.

Wiosna i krasnoludek

Stuk — stuk...

Krasnoludek się obudził i przetarł oczy.

— Kto tam stukła do mojej dziupli? Co to ma znaczyć?

— Wstawaj, leniuchu! To ja, Wiosna! Śpisz jeszcze, a tu na świecie tyle do roboty!

Krasnoludek pospiesznie przetarł oczy i wyskoczył z dziupli starego kasztana, w której spędzał zimę.

— Jestem na twoje usługi. Wiosenko

— Ach, ty leniuszku! To niby sam nie wiesz, co jest do roboty? Trzeba powymiatąć z parku zeschłe liście. Trzeba pta-

szkom pomóc budować gniazda. Trzeba zaopiekować się kielkami pierwiosnków, bo już wylażą z ziemi. Wstyd! Wszyscy twoi braciszczkowie już dawno przy pracy, a ty zaspaleś!

— Nie gniewaj się, Wiosenko. Tak głęboko zagrzebałem się w mech z obawy przed mrozem, że nie poczułem wcale, że słonko już tak silnie dogrzewa.

Wiosna uśmiechnęła się. A krasnoludek pobiegł parkową aleją tak szybko, że tylko migiała jego czerwona czapeczka. Biegł ku staremu dębowi, na którym co roku gnieździły się w drewnianej budce szpaki. Chciał posprzątać domek na ich przyjęcie.

Wiosna i lalki

Wietrzyk polny urwis wielki
wpadł przez okno dziś.

Pozostawił na krzeselku
do laleczek list:

— Przyjdę jutro, moje panie,
z wiosną do was na śniadanie.

Wykrzyknęły lalki:

— Ach! Brudno u nas jest aż
strach. Trzeba wszystko

w naszym kątku doprowadzić
do porządku. Więc Alisia robi

pranie, okna myje Doda.

Miś świąteczne swe ubranie

wytrząpał na schodach.

I Nagusek, choć leń wielki,

zawszydził się wkońcu i szoruje

tak rondelki, że aż błyszczą
w słońcu. Już robota ukończona,
wszystko lśni z czystości,
siedzą lalki wystrojone,
oczekują gości.

O KOZUSZKU ZE SŁOMY

Co się tu dzieje, co się tu dzieje!
Już śnieżek taje, słoneczko grzeje.
Dzieci bez paltek biegają wszędzie.
Chyba niedługo już wiosna będzie.
Na podwóreczku pompa studzienki
jęczy, skrzypiące wydaje dźwięki:
— Zdejmijcie ze mnie słomiane futra,
bo się rozplyną w słońku do jutra...



Widok Liepaji

Jak wiosna trepki zgubiła

Z za sinego hen, z za morza, wędrowała wiosna hoża.

Po kamykach malutkich zdarła u trepków czubki. Po przez gaje i lasy zdarła na nie obcasy. Zanim przeszła przez góry, w trepkach były już dziury. A gdy wreszcie przyszła do wsi Biedoklepki, w strzępach były piękne aksamitne trepki.

Myśli wiosna — „Coż, z ochotą boso poszłabym — lecz . . . błoto. Mokra droga, mokre dróżki, więc zabłocę sobie nóżki. Spytałam czy mi w Biedoklepce trepków sprzedać kto nie zechce. Bardzo śpieszę się w podyżoży — może mi tu kto usłuży?”

Od chaty do chaty wiosienka chodziła, każdą gospodynię o trepki prosiła.

W całej wiosce — rety, rety — nie znalazł się nikt bogaty, by wiosence mógł usłużyć i dać trepki do podróży. W każdym domu była para, ale bardzo, bardzo stara.

Poradzili więc wiosence, żeby poszła w tej udreće do szewczyka Dusiskórki, co miał chatkę za pagórkami. Przyszła wiosna do szewczyka i o parę trepków pyta.

— Trepki? Chętnie. Za trzy grosze będą trepki — sudać proszę! Przecież mówią w Biedoklepce: Dusiskórka — dobrym szewcem.

Dusiskórka trepki robił: tu poklepie, tu poskrobie, tu przykleja, tu przycina — wyszły trepki, jak lupina. Wiosna mierzy — panie święty, nie zmieściło się pół piety!

Dusiskórka drugą parę robi więc na większą miarę.

Wiosna mierzy — placzu bliska: „To nie trepki, a trepiska! Akurat na wielokulada. To mi trepy! To mi cuda! Choć się chwala w Biedoklepce — widzę żeś jest kiopskim szewcem”.

Wyszła wiosna przed próg chaty: „Boso pójde w drogę“. Użalilo się jej słonko: „Ja ci dopomogę“.

Wysuszyło pięknie z błota wszyściutkie dróżki, choć bez trepków wiosna przysza — białe miała nóżki.

Dusiskórka przy okienku wróblech plotek słucha: „Gdybyś wiosnie trepki zrobił — nie byłoby sucho“.